№ 46. Warszawa, dnia 5 (17) Listopada 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

W SPRAWIE KOBIECEJ.

Nic złudniejszego nad kaprys opinii, nic zawodniejszego nad zapał prasy. Jedno jak drugie gorączkuje, elektryzuje ogół, bucha nagle słomianym płomieniem, by zgasnąwszy również szybko, garść popiołu pozostawić po sobie jedynie. A jednak, i ten słomiany nawet płomień, lepszym jest nad zimne milczenie; iskra jego bowiem na właściwy grunt padłszy, budzi tam z uśpienia siły, które raz powołane do życia, stają się już później ciągłem źródłem ruchu i energii.

Tak się przynajmniej stało, ze sprawą równouprawnienia kobiet. Podniesiona przy odgłosie fanfary, obwieszczona światu z tryumfem, jako cywilizacyjna zdobycz XIX wieku, brzmiała ona przed dziesięciu laty na ustach wszystkich, zapełniała łamy w pismach wszelkich odcieni. Młoda prasa, silna zapałem, wywalczyła jej pierwsza u nas prawo bytu; pierwsza nawoływała o zbudzenie do pracy, połowy sił uśpionych w społeczeństwie; o rozbrat z romantycznemi mrzonkami, które wobec smutnych warunków rzeczywistości, ironią stały się tylko.

Hasło postępu podniesione jawnie, wzniecił[o] z jednej strony całą burzę uprzedzeń, zacofania, przesądów i męzkiego egoizmu, z drugiej, wzbudzając w młodych piersiach pragnienie swobody, chęć pracy i niezależności, doprowadziło do walki dwóch stronnictw. Dzięki temu starciu przekonań, sprawa kobieca zajęła pierwszy plan wśród kwestyi żywo ogół obchodzących i szerokiem echem po kraju rozbrzmiała.

Kreślono artykuły i rozprawy, wygłaszano odczyty, pisano księgi całe; entuzyastki zaś, szumem tym odurzone, biegły głównego szermierza sprawy, zasłużonym wieńczyć laurem. Był to jednak płomień... słomiany.

Dziesięć lat zaledwo upłynęło odtąd, a dziś, któż mówi o sprawie kobiecej?

Czy istnieje organ, na łamach którego spotykalibyśmy rozumnie i konsekwentnie przeprowadzoną myśl emancypacyi; rubrykę poświęconą idei, która bądź co bądź, zrównawszy nas z Zachodem, kobiecie polskiej, wytrwałej i sumiennej, otworzyła po raz pierwszy pole do pozadomowej pracy, a społeczeństwu tak ubogiemu ekonomicznie, nowych sił przysporzyła?

Bynajmniej. Prasa nowemi odwołana interesami, o chwilowem zapomniała bożyszczu; autor „Praw kobiety" osamotniony, w wiejskiem zamknął się zaciszu; jako zaś jedyny ślad ówczesnej wrzawy, pozostała zachowana w niektórych pismach rubryka pracy kobiecej, informująca między receptą na wywabianie plam a przepisem smażenia konfitur, o pojedyńczych zdobyczach i tryumfach niewieścich.

Zapał i wrzawa minęły. Płomień jednak choć słomiany, lecz niemniej jasny i gorący, rzucił iskrę, która rozdmuchiwana przez setki piersi młodych, żądnych chleba i szerszego widnokręgu, wytworzyła cały zastęp sił nowych, pracownic zdrowych i uczciwych, które nie chcąc być ciężarem rodzinie, w trudnych i tak postawionej warunkach, z zapałem ręce do pracy wyciągają.

Te lalki, czekając dawniej na mężów, a w razie zawiedzenia nadziei, chowające pieski i kanarki, zobaczywszy, iż z powodu przewyżki statystycznej, piąta część ich musi się wyrzec ogniska rodzinnego, zapragnęły otrząsnąć się z narzuconej roli anioła i stać człowiekiem. Prawda rozświetliła wzrok ich nagle, wskazując, iż praca stokroć jest zaszczytniejszą nad bujanie wśród eterów, lub haftowanie na kanwie. I panna, która według starego przysłowia „wołu zjadła, zaczem ptaszka wyhaftowała", zapragnęła teraz przeciwnie, wołu zarobić, a ptaszka spożyć tylko. Handle, szkoły, magazyny, fabryki, zaroiły się pracownicami, niemającemi ogniska domowego.

Aliści w ślad za niemi przybyły te, które zbudzone z marzeń przez ciężkie warunki ekonomiczne, pomimo posiadania rodziny do pracy zarobkowej także zmuszone zostały. Tu widzimy wdowę bez funduszów, która dzieciom swem chce zapewnić byt i wychowanie, tam siostrę pracującą na utrzymanie osieroconego rodzeństwa, owdzie córkę, chcącą podeprzeć starość rodziców. Mało tego. Oto żona urzędnika; mąż bierze małą pensyą, widoki awansu zmniejszają się, a tu życ trze-

ba; kobieta więc zrozpaczona, załamuje dłonie w zwątpieniu. Lecz nie, niewolno zakładać rąk bezczynnie, ani tracić czasu na smutne rozmyślania. Tyle rówieśnic jej pracuje wytrwale, a więc i ona rzuci się z energią do czynu, a wznosząc się do roli prawdziwej kapłanki domowego ogniska, ognisku temu podupaść nie pozwoli. Pracą własną odpędzi od niego zgryzotę, troskę i zgnębienie, odpędzi widmo niedoli, które nad ukochanymi jej zimne wyciągnęło już ramię.

Pełna chęci najlepszych, pełna wiary i ufności we własne siły, poświęceniem podtrzymane, rzuca się gorączkowo do dzieła. Wszak tyle kobiet pracuje już dzisiaj, więc i ona znajdzie zajęcie.

Ale gdzie?

Rozpoczyna się bliższy przegląd. W szkole, pomimo trudnych egzaminów rządowych, przepełnienie takie, iż nauczycielki wyższych nawet przedmiotów, pobierają czwartą część zaledwo tego wynagrodzenia, jakie otrzymują mężczyzni. W handlu, lepsze miejsca zajęte są przez panów; co do gorszych zaś, na jeden wakans zgłasza się kilkadziesiąt kandydatek. Przytem większe i modne sklepy, posługują się „dla szyku" subiektami tylko. Do rzemiosła, potrzeba nauki, długiej praktyki, warsztatu i t. d. Więc co tu robić? Pracować? Ależ i owszem — woła nieszczęśliwa — dajcie mi tylko tę pracę, dajcie pole do niej!

I kobieta ta, którą nawet jedyna według konserwatystów przystań niewieścia, jedyny cel życia, bo ognisko rodzinne, nie uchroniło od przymusowego zarobkowania, kobieta ta widzi z rozpaczą, iż pomimo dziesięcioletniej wrzawy i brzmiących haseł, społeczeństwo nic prawie nie zrobiło, dla tej masy rąk, bezczynnej dotąd, a która dziś jedną z dźwigni jego stanowić zaczyna. Zabłysnęły wprawdzie pojedyńcze wyjątki; mamy słynne i utalentowane autorki, renomowane lekarki, zdolne nauczycielki; mamy kobiety fabrykantki i rzemieślniczki; ale obok tych odpornych a uzdolnionych i energicznych organizacyi, ileż innych marnuje i przepada?

Widząc iż ogół błądzi tu na ślepo, napróżno szukając dokoła jakichkolwiek wskazówek, pojąwszy, że inicyatywa od interesowanych wyjść powinna, grono kobiet żywo sprawą tą zająć się postanowiło. W tym celu zaprojektowano utworzenie pisma zbiorowego, poświęcone zupełnie sprawom i piórom niewieściem.

Jakkolwiek druga część programu, przesadziwszy w gorliwości, chybia zupełnie celu, jednostronność bowiem żadnej kwestyi na dobre wyjść nie może, a wykluczenie piór męzkich na śmieszność tu zakrawa, niemniej projekt pisma, do którego w osobnym powrócimy artykule, pociągnął już za sobą jeden objaw nader dodatni.

Oto p. Halina Jasieńska ogłosiła odezwę, w której powołując się na ruch emancypacyjny, wzmagający się w całym cywilizowanym świecie, powiada na wstępie:

« „U nas, gdzie tyle kobiet szuka również pracy, nie ma żadnych pomocniczych środków, któreby oświeciły nieświadome, wskazały kierunek w zakresie właściwym ich rodzajowi i stanowiły ułatwienie. Ażeby wiedzieć, do jakiej zabrać się pracy, jak nabyć potrzebnej wiedzy, jak spożytkować nabytą, potrzeba przedewszystkiem poznać pole działania, to jest kraj własny, a w nim położenie swe ekonomiczne, jako też ogół otaczających warunków. Jestto przedewstępna robota, na której dobrze oprzeć się należy."

W tym celu, p. Jasieńska postanowiwszy zebrać jak najobszerniejszy materyał informacyjny z różnych okolic kraju, mogący służyć do gruntownego scharakteryzowania stanowiska, jakie u nas kobieta zajmuje, ułożyła kwestyonaryusz, mający służyć do wyjaśnienia społecznej, moralnej i ekonomicznej roli kobiety polskiej, w rozmaitych sferach jej działania.

Szereg zapytań, na które autorka żąda od pań naszych odpowiedzi, dotyczy stanowiska ich w życiu społecznem, na polu nauki, literatury i sztuki, w służbie państwowej i prywatnej, w dziedzinie hygieny, przemysłu i handlu, w gospodarstwie domowem i rolnem, w wychowaniu, dobroczynności i t. d. Objęto tu, jak najrozleglejszą sferę działalności kobiecej. P. Jasieńska zrobiła wszystko co leżało w jej mocy. Jeżeli też nawet kwestyonaryusz grzeszy niekiedy niejasnością lub złym układem, niemniej sumiennie wypełniony przez czytelniczki, może doniosłe przynieść owoce. Na mocy bowiem otrzymanych tu na pytania objaśnień, mają być wygotowane do owego pisma zbiorowego specyalne artykuły, przedstawiające zarówno ekonomiczne położenie kobiety u nas, jak obraz dotychczasowej jej działalności, przyczem ma ono wskazać nowem pracownicom drogę do społecznych obowiązków, odpowiednich osobistem ich siłom i uzdolnieniu.

Uczyniono więc pierwszy krok, dążący do usunięcia chaosu, panującego w dotychczasowych stosunkach. Reszta zależy od dobrej woli tych, które zechcą we własnym interesie, przyłożyć cegiełkę do ogólnej budowy. Czyż do pracy tej potrzebujemy panie nasze zachęcać? Nie; one same zrozumieją, że danie jasnych i dokładnych na każde zapytanie odpowiedzi, ułatwi redakcyi utworzenie porównawczego obrazu pracy kobiecej; że obraz ten, stanie się dla córek i sióstr ich, dzielną wskazówką w wyborze zawodu, który z lalek salonowych, z „marnego puchu" podniesie je dopiero naprawdę do godności człowieczej i na użytecznych członków społeczeństwa zamieni.

A więc dalej, żwawo do dzieła...

Z sonetów Wł. Trzcińskiego.

STRZECHA RODZINNA.

I.

Czy widzisz wieś odzianą w poranne purpury,
I jeziora spokojne kryształowe tonie,
Co błękit cały niebios mieszczą w swojem łonie,
A nocą przeglądają złotych gwiazdek chmury?

Tę topolę, co cicho wystrzela do góry,
I białym puchem wiosny okryte jabłonie,
I mchem porosłą strzechę w ogrodów koronie,
Pod stopą wieńce kwiatów, nad głową lazury?

To moje niebios krańce, kwiecisty świat cały,
To moja stara chata, obszar łąk wspaniały,
Co się tak słońca jasnym otoczył promieniem,

Bo je sam ozdobiłem w miłości kryształy,
Ozłociłem mojego dzieciństwa wspomnieniem,
W błękity otuliłem mej duszy natchnieniem!...

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napierałską.

(Dalszy ciąg.)

Dobrze się stało, że pani wróciła. Właśnie mam wyjechać daleko za Warszawę, trochę dla interesów, a więcej dla zadośćuczynienia mej rodzinie, zapraszającej mnie do siebie wraz z żoną wprawdzie, co przecież nie obowiązuje pani bynajmniej. Nie mogę, nie chcę nawet wymagać od niej podobnych poświęceń. Jeżeli raczysz przyjąć, zostawię w twych rękach rząd całego gospodarstwa. Dzielnym pomocnikiem będzie rządca. Wyjeżdżam na czas nieograniczony. Jestem pewny, że pani uprzyjemni sobie czas według możności. Niech każdy urządza sobie życie, odpowiednio do warunków, w jakich los go postawił. Postępujmy więc oboje tak, jak nam będzie najdogodniej.

Sokol umilkł, a mnie krew uderzyła do głowy. Moja miłość własna srodze była obrażoną. Więc on ucieka ode mnie? Niech sobie jedzie, wszystko mi jedno ostatecznie. Muszę jednak przekonać się, czy wpływ mój nic a nic na niego nie działa już. Szczęściem, że nie zabrakło pomysłu.

— Kiedyż mianowicie ów wyjazd nastąpi — zapytałam siląc się na ton spokojno-zimny, chociaż gniew zaczynał burzyć we mnie dotychczasową równowagę.

— Chociażby jutro rano — odpowiedział Sokol na pytanie — chciałbym jak najprędzej ujrzeć rodzinę.

— Jabym zaś chciała jechać jutro z wizytą do państwa W. Czy zatem możesz mi pan towarzyszyć.

— Nie przeczuwałem, że pani chce dobrowolnie odwlec mój wyjazd... co nawet przyczyni się prawdopodobnie do pokrzyżowania planów...

— A to jakim sposobem? — zagadnęłam.

— Donosiłem memu bratu, aby dnia tego i tego oczekiwał na mnie na stacyi...

— Jakto? — przerwałam z udanym chłodem — więc gdybym dziś była nie przyjechała, pan udałbyś się w podróż?

— Tak — oświadczył Sokol z niezachwianą powagą. — Przedtem jednak doniósłbym pani o tem listownie, abyś przecież wiedziała, gdzie się mąż obraca.

Na zakończenie rozśmiał się wesoło. A cóż za impertynent! Wyjeżdżać bez pożegnania ze mną, bez żalu. Kim że są ci mężczyzni? Oburzenie zamykało mi usta.

— Tymczasem pani — ciągnął dalej najłagodniejszym głosem mąż — zmusza mnie do zmiany terminu...

— Czy to panu sprawia wielką boleść? Jeśli tak, to gotowam...

— Ależ nie wymagam bynajmniej ustępstwa ze strony pani. Chociaż państwo W. mieszkają daleko i trzeba do nich koleją jechać, chociaż droga tamta od stacyi do dworu upamiętniła się w umysłach okolicznych mieszkańców, którym zdarzało

się spotykać na niej z rabusiami, jak o tem niesie fama, ale niewiadomo, o ile to jest zgodne z prawdą, mimo tego wszystkiego, galanterya nakazuje być na usługi dam, a więc, jedźmy jutro.

Słyszane to rzeczy. On sobie żartował z miną najobojętniejszą. To nie do zniesienia. Mnie zależało nie na wizycie, lecz na sposobie jakim przyjmie moje żądanie. I oto zgadza się na nią z lekceważeniem nieznośnem. Żałowałam prawie w tej chwili mej poprzedniej chęci wypróbowania wpływu nad Sokołem, bo czyż staranie opłaciło się rezultatem spodziewanym.

— Racz mi pani zawczasu oznajmić, czy nie masz jeszcze jakich życzeń? Niechbym o tem wiedział dziś zaraz. Przyznaję się szczerze, ani godziny dłużej po owej wizycie, nie będę rad zwlekać.

— Proszę być spokojnym o to — zawołałam gwałtowniej niżby należało i wnet umilkłam niezadowolona ze swej szorstkości.

— Zdaje mi się jednak, jakoby galanterya moja nie była chętnie przyjęta przez panią — podjął nanowo Sokoł patrząc na mnie z całą swobodą niezakochanego mężczyzny.

— Ofiarowałem swe usługi tak jak umiem, asądzę, że uczucie towarzyszące podobnym aktom, uczucie szczere lub fałszywe, serdeczne czy nienawistne, gorące lub zimne, jest dla pani kwestyą najzupełniej obojętną.

Mówił ciągle w tonie żartobliwym, co mnie właśnie najwięcej irytowało. Zła już byłam sama na siebie za to, że kwestya, jaką jemu podobało się nazwać obojętną, sprawiała mi wzruszenie. Co za fatalne usposobienie!

— Dobra noc panu — wyrzekłam szybko, opuszczając pokój jeszcze szybciej.

— Dobra noc — odpowiedział Sokoł.

Nie dodał nawet wyrazu pani, myślałam rozbierając się w moim pokoju. Co on sobie myśli? Jak on mnie traktuje.

W domu państwa W. było bardzo wesoło. Trzy dorosłe, ładne córki, rodzice gościnni, zamożność, ściągały często okoliczną młodzież, która urządzała tańce, majówki, wycieczki ect.

Dom ten należał do tych domów miłych, ciepłych, staroszlacheckich, które dziś widuje się coraz rzadziej, a o których czytając w powieściach, uczuwa się żal... Cnota i szczerość stanowiły tam największą ozdobę. Pod nizką, słomianą strzechę dworku wchodziło się z taką wesołą myślą, z taką przyjemną pewnością, że się będzie dobrze widzianym i bez obłudy przyjętym.

Przy obiedzie gwarno było. Panowie toczyli między sobą rozprawę o stosunkach do ludu, o tem czy każdy właściciel wsi powinien być dla swych poddanych tak dobry, wyrozumiały, troskliwy jak ojciec, czy też bezwzględnie obojętny, zimny, dumny pan, nieocierający się nigdy bliżej o szorstką powłokę tego żywiołu.

— Jestem zdania tego — mówił jeden z młodszej generacyi — że z chłopem najlepiej postępować surowo, o ile tylko pozwala na to prawo, nie pobłażać nigdy, nie przebaczać najmniejszego przestępstwa i trzymać się zawsze na takiem stanowisku, aby chłop czuł swą nizkość. W ogóle traktować go w ten sposób, jak się traktuje narzędzia niezbędne nam do tej, lub owej czynności, ale po za tem zresztą już nic.

— To też w tej wsi, którą objąłeś po swym ojcu, mój Władku — odparł ktoś z zebranych — ludzie zdejmują przed tobą czapki o ćwierć wiorsty, ale czy myślisz, że oni cię kochają? Postępując z nimi, jak z istotami, niegodnemi twego przyjaznego słowa, łagodnego spojrzenia, wzbudzasz bojaźń zamiast przywiązania, o które przecież tak łatwo u naszego poczciwego ludu. Toż wiemy, że rolnika, który skończył orać zagon, stawiasz w myśli na równi mniej więcej z wołem, pracującym także i gdyby ten rolnik błagał cię o jakąkolwiek łaskę, ustępstwo, tobyś mu hardo odpowiedział: dałem ci tyle, ile się należało. Więcej nie wolno ci wymagać. Pomyśl jednak Władku, czy byłoby miło, gdyby np. dwór twój się zapalił, a oni nie przyszli ratować, gdybyś się wreszcie znalazł, bo wszystko możebne, w jakiemś położeniu wymagającem pomocy, a oni, ci, których pot wzbogaca nas, nie udzielili owej pomocy pamiętni na lodowatość i pogardę twoją.

— Stanowczo jestem za tem — zabrał głos jeden ze starszych obywateli — że ludu nie powinno się do siebie nigdy i niczem zrażać. Tak miłość jak nienawiść rodzi się szybko w jego sercu, zadraśnięty raz, pamięta długo, ale pociągnięty jednym, przyjacielskim zwrotem, czuje się związanym na zawsze. Dbajmy, starajmy się o zdobycie miłości ludu, bo tym właśnie sposobem, zaprowadzimy go gdzie tylko zechcemy, pozyskamy dla siebie w zupełności. Tymczasem chłop zrażony może się zwrócić w inną stronę i zamiast korzyści przyniesie nam szkodę.

— Ciekaw jestem — odezwał się gospodarz domu — co nam powie w tej materyi pan Jan Sokolski z Jedlina.

— Ah! — zawyrokował drwiąco ten, którego nazywano Władkiem. — Jasio bawi się w sielanki. Zagląda do chat, rozmawia z gospodyniami, pociesza smutnych, cieszy się ze szczęśliwemi. Za to, jak idzie przez swoje dobra, wszystkie dzieciaki wydzierają się do ucałowania murąk, wszystkie głowy, jakby jedna głowa pochylają się, ale z uśmiechem, któryby podług mnie, przystawał więcej do twarzy przyjaciela nie zaś parobka. A! czy jabym chciał bawić się w te przesadne idylle.

— Nie rozumiem wcale — przemówił spokojnie Sokoł — dlaczego odpychać lud od siebie, dlaczego gardzić nim? Kto jest jego panem, niech będzie zarazem i miłosiernym, roztropnym opiekunem. Niechby który z nas, mających wszystko na zawołanie, przeniósł się do chaty, gdzie zimą zamróz występuje na ściany, a zamiast posadzki jest zimna, wilgotna ziemia. Żyjmy jakiś czas w tej lepiance pozbawionej ciepła, cieszącej się światłem o tyle, o ile może go przepuścić małe zielonawe okienko: dodajmy do tego nędzną strawę, ciężkość pracy, a przekonamy się, czy chłop nie zasługuje na serdeczniejsze uznanie. Ile w tych lichych, odrapanych budynkach znajduje się poczciwości, ile pereł bystrego, otwartego umysłu możnaby znaleźć, umysłu, który przecież często dla braku właściwego rozwoju, skazany jest na zmarnowanie. Trzeba się zżyć z tętnem ludowem, aby mócz ocenić jego doniosłość, jego powab i żelazną często wytrwałość. I tam jak wszędzie leją się łzy, łamią się serca, wstrząsają dusze, a chociaż to wszystko objawia się inaczej może niż w naszej sferze, niemniej przeto istnieje. Czy jest więc jakikolwiek wzgląd, nakazujący nam postawić nieprzebytą zaporę między ludem a nami? Czy nie rozkosznie, ciepłem swych piersi ogrzewać tych, którzy są spragnieni tego zetknięcia, którzy w bratnim uścisku szliby do jednych celów?

Wszyscy goście słuchali Sokoła słów, wypowiedzianych tonem poważnym, naturalnym, mile wpadającym do ucha. Wszystkie kobiety utkwiły w niego oczy i ja mimowoli jakoś wpatrzyłam się. Zaledwie jednak na sekundę spotkały się nasze źrenice, ja spuściłam swoje, on uśmiechał się do dam, oblegających go teraz rozmową i nie spojrzał już w moją stronę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Występ panny Ireny Trapszanki w komedyi Michała Bałuckiego p. t. Nowy dziennik.

Ze wszystkich rodzajów na jakie składają się charaktery sceniczne, role naiwne zdają się pozornie nie przedstawiać zbyt wielkich wymagań, a jednak bezwarunkowo są najtrudniejszemi. Większa część młodych adeptek sztuki sądzi, że aby zostać naiwną, dosyć jest przy ujmujących rysach twarzy, posiadać zgrabną figurkę, cokolwiek wdzięku, trochę naturalnej prostoty, a reszta sama się już przy dobrej woli znajdzie, i dlatego to kandydatek do tego rodzaju ról nigdy nie zbraknie. Wśród licznego zastępu takowych, nader rzadko spotkać można prawdziwe talenty; jeżeli zaś postronne stosunki lub też protekcya wprowadzi jednę z ubiegających się na scenę, to wtedy publiczność ma przed oczami śliczną osóbkę o nadobnych kształtach, powłoczystem spojrzeniu, wabnym uśmiechu, która poprawną dykcyę zastępuje szczebiotem, dziecięcą prostotę wystawą białych ząbków, a swobodę ruchów podrygiwaniem. Młodzież jako materyał łatwo zapalny sypie sute oklaski uroczemu zjawisku, galerya wtoruje, a ogół idzie za nadanym impulsem i tym sposobem zdobywa odrazu znakomitość, której jedyną zaletą niezmierna pewność siebie, jakie takie obycie się ze sceną, a przedewszystkiem uroda. Na szczęście nie zawsze tak bywa: czasami pozyskujemy dla sceny prawdziwe talenty, ale te znowu zrosłszy się z deskami teatralnemi, nie chcą ustąpić nawet i wtedy, gdy nieubłagany czas położy veto na dalszą ich działalność.

Komedya francuzka miała w arcydziełach Rassyna i Kornela siedmdziesięcioletnią pannę Mars, czyliżby jednak ta genialna przedstawicielka Fedry, zdołała wytrwać na zdobytem tyloma zasługami stanowisku, gdyby rodzajem jej talentu było tylko odtwarzanie charakterów piętnastoletnich dzieweczek?

Wszystko co powyżej powiedziałem ma na celu dowieść, że kiedy wśród licznego grona adeptek Melpomeny wyłoni się szczęśliwym trafem artystka obdarzona nie tylko rzeczywistym talentem lecz i nader rzadkim w młodym wieku darem intuicyi, należy koniecznie nie tamować rozwoju jej naturalnych zasobów przez dawanie ról drobnych, podrzędnych, częstokroć zupełnie nieodpowiednich, ale udzielić możność rozwinięcia na szerszem polu darów jakie posiada.

Mamy tu na myśli pannę Irenę Trapszankę.

Dotychczas oprócz Heli w „Nowym dzienniku”, przedstawiała ona tylko drobne i drugorzędne rolki, a przecież świetną grą swoją w jednoaktówce

p. t. „Pożar w klasztorze", dała poniekąd miarę swych zdolności.

Treść utworu ulubionego naszego dramaturga skreśliliśmy w swoim czasie w Tygodniku Mód (N. 18), nie mamy więc zamiaru jej powtarzać, ażeby jednak dokładniej ocenić sposób gry p. Ireny Trapszanki, stawimy przed oczy czytelnika parę wypisanych z rękopismu wyjątków.

Oto np. scena I-sza.

MANIA.

Helu, ty znowu przy oknie!

HELA.

Ah! moja droga, pozwól mi nacieszyć się! Tu tak ładnie, taki ruch, takie życie, że napatrzyć się nie mogę. To nie tak jak u nas na wsi, gdzie choćbyś oczy wypatrzyła nie zobaczysz nic, chyba starą Magdę z konewkami, albo Azorka ziewającego na gazonie. A tu co chwila coś nowego: panie takie postrojone, jakby je kto z żurnalu powycinał; powozy, tramwaje, wojsko, a co ładnych chłopców! A żebyś wiedziała jak zerkają w nasze okno, jak cię kocham!

MANIA.

Helu pfe! jakże można mówić takie rzeczy!

HELA.

Dlaczego? Alboż to grzech patrzyć na ładnych chłopców?

MANIA.

To nie wypada.

HELA.

Dobrze mówić tobie, niewypada, skoro już masz swojego.

MANIA.

Co? ja? co ty pleciesz?

HELA.

O już ja wiem dobrze co mówię. Albo to niewidziałam jak Adaś Buraczyński całował cię po rękach.

MANIA.

Mnie? gdzie, kiedy?

HELA.

A wtedy jakto miał jechać na politechnikę do Wiednia. A widzisz, zaczerwieniłaś się.

MANIA.

No, to było na pożegnanie. Znamy się przecież od dzieci, bawiliśmy się razem, to cóż dziwnego, że tam raz w rękę pocałował.

HELA.

Hm, raz! A w altanie na imieniny taty, przecież wtedy nigdzie nie wyjeżdżał. A w lesie na orzechach? A w powozie jakeśmy wracały wieczorem z odpustu, a przy lekcyach rysunku?

MANIA (zatykając jej usta).

Helu, na miłość Bozką!

HELA.

A widzisz! Ja byłam wtedy jeszcze dzieciakiem na którego nie zwracaliście wcale uwagi: ale ja to wszystko dobrze widziałam i pamiętam.

MANIA.

Moja droga, jeżeli mnie choć trochę kochasz, nie mów tego nikomu, bo ja bym się spaliła ze wstydu.

HELA.

Nie bój się, ani pisnę. Tylko mi się przyznaj szczerze (bierze ją za ręce.) Więc na prawdę się kochacie?

MANIA.

Czy ja wiem?

HELA.

No, to któż będzie wiedział? Oświadczył ci się, co?

MANIA.

Tak... niby, niewyraźnie. Przed wyjazdem za granicę mówił, że mu będzie bardzo źle i smutno beze-mnie, prosił żeby pamiętać o nim.

HELA.

No, to formalne oświadczyny. A czegóż ty chcesz więcej?

MANIA.

Od tego czasu jednak minęły już dwa lata i nie dał znaku życia o sobie, nie napisał ani słóweczka.

HELA.

Czeka zapewne aż ukończy nauki i dostanie posadę. Tak być powinno. Naprzód trzeba mieć gniazdko a potem dopiero starać się o ptaszka. Zobaczysz, że on się tu lada chwila zjawi i oświadczy się ojcu.

MANIA.

A ojciec niepozwoli i będzie po wszystkiem.

HELA.

Ciekawam dlaczego miałby niepozwolić?

MANIA.

A niepamiętasz to, co się ojciec nagadał kiedy Frania Lipkowska poszła za syna ekonoma? Nie mógł darować panu Lipkowskiemu, że pozwolił na to małżeństwo choć to przecież był syn ekonoma a ojciec Adama jest tylko prostym karbowym.

HELA.

To nic. Będziesz dotąd mdlała, płakała, desperowała, aż ojciec zmięknie i pozwoli. Taka miłość z przeszkodami to jeszcze więcej smakować musi. Oh! cobym ja dała za to żebym się tak mogła zakochać! (Słychać muzykę wojskową za sceną.) Muzyka! (Biegnie do okna.) Co tu wojska, jak równo maszerują: raz, dwa, raz, dwa! Wiesz, to ta polka z Gasparona cośmy ją dostały w przeszłym roku. (Śpiewa i tańczy.) „W gęstym lesie po nad drogą, tam gdzie krzyże stoją dwa, szedł syn pański wolną nogą, a za synem szedłem ja, i aby ten czas skrócić zacząłem sobie nucić: tra la la la la!...

MANIA.

Waryatko, co ty robisz!

HELA.

No cóż? tańczę! Ah, to rozkosz tańczyć przy takiej muzyce.

(Tańczy znowu i śpiewa.)

MANIA.

Helu, bój się Boga, jakiś pan patrzy z przeciwka i śmieje się z ciebie!

HELA (biegnie do okna).

Gdzie? gdzie?

MANIA.

Idźże od okna, albo spuść roletę przynajmniej.

HELA (patrząc).

Wiesz ty kto to taki?

MANIA.

Nie wiem i nie chcę wiedzieć; tylko proszę cię odejdź od okna. Jakże można tak wobec obcego człowieka...

HELA.

Przecież to jest nasz dobry znajomy, niepoznajesz? To Stefek.

MANIA.

Co za Stefek?

HELA.

Syn pana Czeczugi.

MANIA (patrząc).

Ależ zdaje ci się.

HELA.

Jak cię kocham.

MANIA.

Stefan przecież nie miał wąsów.

HELA.

Tak, kiedyśmy się z nim bawiły w kotka i myszkę. Ale przez tyle lat miały przecież czas urość. Patrz jak mu ładnie z temi wąsami... kłania się nam. (Kiwa głową oddając ukłon).

MANIA.

Przyznam się, że to wcale dziwny sposób witać kogo tak z daleka, na migi.

HELA.

To prawda. Dlaczego nie przyjdzie tu do nas przywitać się jak należy? (Kłania się.)

MANIA (odciągając ją).

Helu, bój się Boga, co ty robisz?

HELA.

No cóż?

MANIA.

Jakże można się kłaniać młodemu człowiekowi!

HELA.

Przecież wolę jak staremu.

MANIA.

Ależ to nie przyzwoicie. Nie, jak tatuńcia kocham on nam całusy posyła!

HELA (ucieszona).

Całusy... a prawda!

MANIA.

To przez twoje roztrzepanie tak się ośmielił a nawet rozzuchwalił.

HELA.

E, to nie dlatego. Tylko widzisz on ma prawo do tego.

MANIA.

Do czego?

HELA.

No, do wszystkiego. Bo... jakżeby ci to powiedzieć, widzisz, my jesteśmy ze sobą jakby po ślubie.

MANIA.

Coooo?

HELA.

To jest niby formalnego ślubu jeszcze nie było, ale zresztą wszystko odbyło się jak potrzeba.

MANIA.

Co się odbyło?

HELA.

No, uczta weselna, tańce, oczepiny, kolacya, wszystko.

MANIA.

Gdzie? kiedy?

HELA.

Na wsi u jego ciotki, gdzieśmy pojechali z tatką na imieniny. Ogrodnik dawał nam ślub w oranżeryi; związał nas ręcznikiem, bo organista nie chciał pożyczyć stuły z kościoła i ja ślubowałam mu wtedy miłość, wiarę i posłuszeństwo małżeńskie.

MANIA.

Zabawa dziecinna, także mi mów!

HELA.

Przepraszam cię, ale taki ślub to już ma swoje znaczenie, tak, tak.

MANIA.

Dziecko z ciebie.

HELA.

Jak cię kocham! Jedna moja koleżanka z klasztoru, co ma wuja kanonikiem, mówiła mi, że według konkordatu takie małżeństwo już obowiązuje i że ja bez dyspensy nie mogłabym już wyjść za innego. On to wie, bo ich pewno tego w szkołach uczą i dlatego traktuje mnie tak poufale. Ale nic z tego, mój panie! Jeżeli nie będziesz takim jak ja sobie wyobrażam starającego się kawalera: miłym, ugrzecznionym, nadskakującym, to żeby tam i sto konkordatów, powiem nie i kwita z przyjaźni. Tak, tak mój panie! (Po chwili.) Tylko dlaczego on zamiast przyjść do nas i przywitać się jak należy, takie niedorzeczne miny stroi z daleka? O! myśli, że mu z tem ładnie. (Wzrusza ramionami.) Boże! (Po chwili tupiąc nóżką.) A przyjdź już, przyjdź raz przecie!

MANIA (odsuwa ją od okna).

Helu, Helu, tego już zanadto!

(*Dokończenie nastąpi.*)

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

A dziecię twoje? — rzekła Helena. — Nie myślisz co się z niem stanie? Ja przyzwyczaiłam się już do ofiary i nie ma poświęcenia jakiegobym nie poniosła dla ciebie, nie o mnie więc chodzi. Gdy byłam ubogą pracownicą mieszkającą w skromnej izdebce i zarabiającą igłą na swe utrzymanie, babka twoja podała mi rękę, zabrała mnie do swego domu i obchodziła się ze mną jak z córką. Nie zapomnę tego nigdy i bezgranicznem poświęceniem spłacę jej i tobie zaciągnięty dług wdzięczności. Ściśle rzecz biorąc, możesz mnie porzucić, mniemasz zapewne, że uczyniłeś dla mnie dosyć nadając mi swoje nazwisko, majątek i cały rok wymarzonego szczęścia. Ale raz jeszcze powtarzam, nie myślisz o dziecku. Mówisz, że odjedziesz, że znikniesz nam z oczu zupełnie, w taki więc sposób chcesz spłacić dług ojcowskiego uczucia? Pomyśl, że kiedyś musisz być przykładem dla syna, a człowiek nie odrazu przygotowywa się do tak wzniosłego zadania lecz zawczasu gromadzić musi potrzebne do tego skarby. Opieka matki w przyszłości nie wystarczy synowi, ojciec powinien go kształcić i kierować jak tylko podrośnie... Przebacz mi Ludwiku, że w ten sposób do ciebie przemawiam, kocham cię nad życie i uczyniłabym wszystko, aby cię widzieć lepszym, brakuje ci tylko trochę siły woli, gdyż w gruncie duszy jesteś dobrym i szlachetnm. Przebacz mi, że będziesz usiłował opierać się złym wpływom i powrócisz do nas, którzy cię tak szczerze kochamy... Bylibyśmy tak szczęśliwi!... O! Ludwiku pomyśl, że spełnienie obowiązku to rzecz tak łatwa, prosta a tak błoga!...

Ludwik słuchał jej w milczeniu i powtarzał sobie w duchu, że w istocie to rzecz łatwa, prosta i błoga, że idąc za radą żony nie będzie zmuszony kłamać, ukrywać się i żyć ciągle wśród udręczeń i wyrzutów sumienia. Przypomniały mu się szczęśliwe dni spędzone z żoną w Boissise i zdawało mu się że oddycha znowu czystą, pogodną atmosferą bezpowrotnie minionej przeszłości. Wszak od niego tylko zależało rozpocząć na nowo to pełne uroku życie, w którem umysł jego i serce w harmonijnie zlewały się tętna. Mógł pojechać z Heleną do Włoch lub Hiszpanii i tam w krainie słońca, zdala od intryg i pokus wynagrodzić szlachetnej kobiecie wszystkie przebyte cierpienia. Już, już otwierał usta, aby zawołać do Heleny:

— Jedźmy ztąd oboje, najdroższa, jedźmy tam gdzie nie dosięgną nas te smutki i boleści jakich zawiele doznaliśmy już w życiu!

Lecz błękitne oczy pięknej Angielki, jej różane usta i złote włosy mignęły nagle przed oczami jego wyobraźni i zatarły w umyśle słabegoczłowieka wszystkie zbawienne i pogodne natchnienia. Duma zbudziła się w jego sercu i szepnęła mu podstępnie: co ludzie pomyślą o tobie? Będziesz wyglądał jak mały chłopczyk, który staje się posłuszny skoro go wyłają. Jedna nagana żony zmieniła cię w pokutującego i pokornego grzesznika. Jakto przecież ty chyba jesteś panem domu, tylko głupiec daje się powodować wzniosłemi frazesami o wysokiem posłannictwie rodziny! Czy ludzie tacy jak ty powinni znać inne prawo nad własne kaprysy? Moralne więzy nie są dość silne, aby ich powstrzymać od zadowolnienia namiętności. Czyżbyś chciał naśladować większość społecznych męczenników, którzy stają się niewolnikami dziecinnych przesądów? Nie, ty zaliczasz się do istot wyjątkowych, umiejących się wyzwolić z pod towarzyskiego przymusu.

Przewrotne te sofizmata wywołały w jednej chwili zupełny przewrót w umyśle Ludwika. Nazwał się naiwnym głupcem, który o mało co nie ustąpił nierozsądnym, pospolitym względom. Szatan ukryty na dnie jego duszy, zupełne odniósł zwycięztwo. O ile przedtem Ludwik czuł się wzruszony i z zapałem myślał o zwróceniu się na prawą drogę, o tyle teraz okazał się chłodnym i obojętnym. Wszelki ślad żalu zatarł się w jego umyśle a w sercu zbudziło się tylko gwałtowne żądanie zadowolnienia miotającego nim kaprysu.

Nie śmiał jednakże otwarcie wypowiedzieć to Helenie, ujął tylko jej rękę i raz jeszcze do ust przycisnął. Młoda kobieta bacznie śledziła wrażenia malujące się kolejno na wyrazistej twarzy męża i zrozumiała co znaczy jego chłodna obojętność. Z rozżalenia też wysłuchała miodowych słówek Ludwika, któremi tenże obsypał ją przed odejściem, skoro jednak została sama, rozpłakała się gorzkiemi łzami nad bezużytecznością swojego usiłowania.

Od tej chwili zwątpiła czy łagodnością i nieograniczonem przywiązaniem zdoła pociągnąć ku sobie niewdzięcznika, który ją zdradzał, nie dała jednak jeszcze za wygranę i w niczem nie zmieniła raz powziętego planu postępowania. Nigdy chyba nie okazywała się czulszą i powabniejszą, jak przez te krzyżowe dni próby. Wyzwała przeznaczenie i postanowiła walczyć aż do ostatniego tchnienia, roztaczając skarby umysłu i serca, aby podobać się mężowi, pociągnąć go i przykuć do siebie. Uczyniła się nawet niewinnie zalotną i drżała z radości widząc, że mąż podziwia jej piękność. Chciała pobyt w domu uczynić mu tak miłym, żeby nie miał żadnego powodu do wyrywania się z niego.

Nie narzucała mu się jednak nigdy, gdyż krótkotrwałe zwycięztwo nie opłaciłoby goryczy późniejszego zaniedbania. Myśl że mąż dzieli uczucie między nią i inną kobietę, była dla niej nieznośną męczarnią, chciała posiadać jego serce w zupełności albo wyrzec się go całkiem. Pomimo wewnętrznych walk i ciężkiego zmartwienia, Helena tak doskonale panowała nad sobą, że nikt, nawet babcia żyjąca z nimi pod jednym dachem, nie domyślała się rozterki panującej pomiędzy młodem małżeństwem.

Po wyżej opisanej scenie jaka miała miejsce między nią i mężem, Helena nie wspomniała ani razu o wieczorze u pani Olifaunt. Miała nadzieję, że w ostatniej chwili Ludwik zawstydzi się swych samolubnych żądań i powie jej: zostańmy! Ale jeśliby mąż nie zdobył się na ten bohaterski czyn odwagi, Helena miała niezłomne postanowienie towarzyszyć mu na bal i okazać się mężniejszą od niego. Jednakże spytała się Emilii czy otrzymała zaproszenie na wieczór do pani Olifaunt?

— A jakże — odpowiedziała jej panna Lereboulley. — Diannie bardzo zależy na tem, aby na balu u niej była choć jedna uczciwa kobieta.

— W takim razie będą dwie: ty i ja.

Emilia ściągnęła brwi gniewnie i badawczo spojrzała w oczy Helenie lecz nie odpowiedziała jej ani słówka, prócz wyrażającego zdumienie wykrzyknika:

— Ah!

Następnego dnia, na jakiemś zebraniu, Thauziat zbliżył się do pani Hérault i zamieniwszy z nią kilka słów obojętnych, rzekł nagle:

— Czy to prawda, że jutro pani będzie u pani Olifaunt?

— Dlaczego pytasz mnie pan o to?

— Dlatego, że pani Olifaunt chlubi się tem przed każdym kto tylko chce ją słuchać.

— Czy to dla niej jest takim zaszczytem?

— Wielkim, ma się rozumieć.

— Tem lepiej, jeśli ona jest zadowolnioną, co do mnie bardzo mało przywiązuję wagi do tak drobnego faktu.

— Więc pani ani odrobinę nie jesteś zazdrosną?

— Nie jestem nią już teraz.

Mówiąc to Helena pobladła nieco i dodała z wymuszonym śmiechem:

— Widzisz pan, że do wszystkiego przyzwyczaić się można.

Klemens zwrócił na nią wzrok smutny i łagodny zarazem i rzekł poważnie.

— Z całej duszy lituję się nad panią.

Helena z dumą podniosła głowę i rzekła niemal szorstko:

— Zwalniam pana od obowiązku okazywania mi współczucia. Nie znoszę litości i nie potrzebuję pociechy!

— Jednak nie możesz mi pani zabronić, abym nie oburzał się na los, który okazuje się tak niesprawiedliwym dla ciebie. Z całej duszy życzę pani szczęścia, choćbym z tego powodu najsroższe miał cierpieć katusze. Wiesz pani dobrze, że usposobienie moje nie zmieniło się wcale; są ludzie

co na wieki pozostają wierni jedynej, prawdziwej miłości, którą czczą i szanują jak świętość.

Helena dumnym zmierzyła go wzrokiem.

— Czegóż się pan możesz spodziewać? — spytała.

— W sercu mojem nie ma nawet iskierki nadziei, abyś pani kiedyś była mi wzajemną — odparł spokojnie — ale kocham cię i nie odstąpię przez życie całe. Jedynem dla mnie szczęściem jest patrzyć na ciebie, napawać się czarownym dźwiękiem twego głosu. Widząc z jakiem męztwem znosisz cierpienie, lituję się nad panią i chciałbym cię powstrzymać od popełnienia jakiego bohaterskiego szaleństwa, które nie rozbroi człowieka dla którego się poświęcasz a zgubić cię może w oczach świata. Z walki jaką rozpoczęłaś wyjdziesz z rozdartem sercem; pamiętaj że nie walczysz równą bronią. Twoi przeciwnicy osłaniają się pancerzem nienawiści lub obojętności, ty zaś idziesz ufna i bezbronna. Oni są obłudni i wiarołomni, ty szczera i szlachetna, musisz zatem paść ofiarą i zostać zwyciężoną.

Tu Klemens zatrzymał się nagle a Helena drżąca i wzruszona nie mogła zdobyć się na słowa. Zdawało jej się, że Thauziat wypowiedział wyrok potępiający ją na wieki w otchłań zgrozy i nieszczęścia. Czuła jednak; że nie wyjawił jej jeszcze wszystkiego co mu leżało na sercu i spojrzała na niego błagająco. Klemens zrozumiał widać niemą jej prośbę, gdyż tak dalej ciągnął:

— Nie znasz pani charakteru swego męża i od pierwszego dnia po ślubie fałszywą poszłaś z nim drogą. On należy do tego rodzaju ludzi, którzy kochają i szanują tylko tych co im się opierają. Pani byłaś łagodną i dobrą dlatego też Ludwik udręczał cię bez miłosierdzia... Było to nieuniknione następstwo faktów!.. Ale jeszcze czas zmienić sposób postępowania: okaż się pani gwałtowną i nieubłaganą... A przedewszystkiem nie chciej upokorzyć się przed twą rywalką.

Helena smutnie potrząsnęła głową.

— Nie chcesz pani tego uczynić? — podjął znowu Thauziat. — Ha, w takim razie nie ma co już o tem mówić. Nie zapomnij pani tylko, żem był o tyle uczciwy, iż dałem ci dobrą radę i bądź przekonaną, że masz zawsze we mnie najwierniejszego przyjaciela.

I tłumiąc głębokie westchnienie Thauziat pochylił się przed Heleną z pełnym szacunku ukłonem, poczem oddalił się zwolna.

Młoda kobieta wróciła do domu smutna i roztargniona. Nadszedł wreszcie dzień balu. Ludwik od rana był niespokojny i silił się na wymuszoną wesołość. Nie zwrócił uwagi na poważny smutek żony i pojechawszy wcześnie do Saint-Dénis, spędził cały dzień w fabryce. Zaledwo zdążył wrócić na obiad. Po obiedzie odezwał się do żony:

— Pojedziemy o jedenastej, nieprawdaż?

— Tak — brzmiała lakoniczna odpowiedź Heleny, poczem Ludwik oddalił się zaraz do swego gabinetu.

Tak więc zniknęła wszelka nadzieja opamiętania się Ludwika. Młoda kobieta razem z babcią udała się do swego pokoju i zaczęła bawić się z dziecięciem, lecz nagle ogarnął ją taki gwałtowny smutek, że rzewnemi zalała się łzami. Przestraszona babcia wypytywała ją o powód zmartwienia, ale Helena odpowiadała jej półsłówkami, twierdząc, że smutek jej z całkiem urojonych wypływał pobudek i że zwierzyć się z niego nie może. Wreszcie siłą woli zapanowała nad sobą i widząc niespokojny wzrok babci, zaczęła się ubierać. O jedenastej była już zupełnie gotowa, nie chciała jednak podług zwyczaju zejść do salonu, lecz oczekiwała na męża w swoim pokoju. Wkrótce zjawił się Ludwik zniecierpliwiony widocznie, gdyż mniemał, że Helena opóźniła się z ubraniem. Ujrzawszy żonę, stanął zdumiony jej pięknością.

Helena miała na sobie białą suknię haftowaną perłami, na szyi żadnego klejnotu. Lekko wijące się włosy ozdabiał maleńki pączek białych powiewnych piórek. Szlachetna jej postawa tchnęła takim wyrazem dumy i godności kobiecej, że Ludwik uczuł się dziwnie w obec niej onieśmielony.

Helena ujęła męża za rękę i poprowadziła go do sąsiedniej komnaty, gdzie spał mały Piotruś. Odsunąwszy firanki osłaniające kolebkę, w milczeniu ukazała mu dziecię świeże i różowe jak kwiatek. Ludwik pochylił się nad synem, przez chwilę wpatrywał się w niego i dotknął ustami jego czoła. Serce Heleny żywszem zabiło tętnem, chciała zawołać:

— Przez miłość dla twego syna, zostań ze mną w domu!

Ale Ludwik wyprostował się już i najobojętniej w świecie poprawił węzeł krawatu.

Młoda matka zrozumiała, że ostatnie jej usiłowanie okazało się bezużyteczne i zapuszczając firanki z religijnym szacunkiem, jak gdyby przed świętokradzkim wzrokiem zamykała podwoje świątyni, rzekła:

— Jedźmy.

X.

Dianna promieniejąca dumą trzymała rękę kobiety, która ją znieważyła i ukazała zdumionemu Lereboulleyowi widok, jakiego się najmniej spodziewał. W istocie obecność pani Hérault w salonach pani Olifaunt była czemś tak niezwykłem, że piękna Dianna miała się z czego chełpić. Swobodna, lekka jak motylek, strojna w błękitną gazową suknię, Dianna przechodziła od jednej gromadki osób do drugiej, zbierając wszędzie hołdy i uśmiechy.

Ile było w Paryżu pięknych kobiet i modnych paniczów, wszystko to zebrało się dziś w salonach pani Olifaunt, które zaiste czarodziejski przedstawiały obraz. Oko z upodobaniem spoczywało na pięknych parach z ochotą oddających się tanecznej rozrywce. Wachlarze jak roje różnobarwnych motyli, powiewały nad białemi ramionami, brylanty lśniły we włosach, a suknie unoszące się z lekkim szelestem w tańcu zlewały się w harmonijną jedność z czarownemi dźwiękami muzyki.

Lereboulley wystrojony podług najświeższej mody, nie posiadał się z radości. Zdawało się, że to on jest tutaj panem domu i pyszni się wspaniałemi salonami i wesołem gronem zaproszonych gości.

Nie odstępował prawie Dianny, z dumą słuchając pochwał o jej piękności i kompromitując ją zbyt jawnie okazywanem zadowoleniem. Mało kto zwracał uwagę na sir James, który grał w karty z wielkiem jak zwykle powodzeniem. Senator był już teraz pewien, że Ludwik nie kochał się w Diannie i że jego posądzenie całkiem było bezzasadne; w przeciwnym razie czyżby pani Hérault znajdowała się tutaj spokojna i uśmiechnięta? Wszak widział ją obok Emilii otoczoną gronem młodych kobiet i śmiał się w duchu z tego co nazywał wynikiem rozbujałej wyobraźni. Oddychał pełną piersią, gdyż szczęściu jego nic nie groziło. Po raz pierwszy od dwóch tygodni rozmawiał poufale z Ludwikiem i spoglądał na niego przyjaźnie.

— Kochany Ludwiku — odezwał się żartobliwie — widzisz tu dziś zgromadzone wszystkie najpiękniejsze kobiety w Paryżu. Gdyby się dom zapalił i żywa dusza ztąd nie wyszła, piękni panicze nie mieliby nazajutrz w kim się zakochać!

I zaśmiał się ze swego ciężkiego dowcipu, lecz spostrzegłszy Diannę podążył natychmiast na jej spotkanie. Piękna Angielka pociągnęła go w zaciszny kącik salonu i rzekła z miną tryumfującej niewinności:

— A co, widzisz że przyszła i wcale nie wygląda na nieszczęśliwą ofiarę.

— Cieszy mnie to niewymownie!... — odparł rozpromieniony. — Kocham bardzo całą rodzinę państwa Hérault ale nadewszystko kocham moją śliczną Diannę... Jesteś dziś szatańsko piękną, moja miła! Żadna z kobiet porównać się z tobą nie może, chyba tylko żona Ludwika walczyćby z tobą mogła o palmę piękności... Jeżeli kiedykolwiek tybyś mnie porzuciła, ona jedna zdołałaby mnie pocieszyć.

Błyskawica gniewnej nienawiści mignęła w oczach pięknej pani.

— O! w takim razie umarłbyś ze zmartwienia — rzekła — gdyż miejsce to zajmuje de Thauziat.

— Kto? de Thauziat? — powtórzył z najwyższem zdumieniem Lereboulley. — Czyś zmysły postradała Dianno?... Pani Hérault jest najuczciwszą kobietą, ona kocha tylko swego męża.

— Kimże więc ja jestem, która poświęcam dla ciebie honor męża i swój własny?... — przerwała mu cierpko Dianna. — Jakąś nic nie znaczącą istotą, nieprawdaż?

— Ty Dianno, jesteś uosobieniem doskonałości na ziemi. Ale pani Hérault...

— Ah! nudzisz mnie z tą twoją panią Hérault — odparła niecierpliwie. — Któż ona jest, że się z nią obchodzicie jak z księżną?... prosta szwaczka która nie śmiała pewno nawet marzyć o bogactwie i stanowisku, jakie teraz zajmuje w świecie. Nie wiem czem ona was tak czaruje, Thauziat szaleje za nią... a ty sam wydajesz mi się ogłupiony!... Idź porozmawiać z nią, będzie ci zapewne opowiadać o karmieniu swego malca i wzruszeniach jakie jej spowodowało wyrzynanie pierwszego ząbka. Nie dość bowiem, że jest najuczciwszą z kobiet, ale jeszcze najlepszą z matek... Przypatrz się jak jej mąż zachwyca się temi zaletami!...

Tu Dianna głośnym wybuchnęła śmiechem.

— Przebacz mi Dianno, wyrządziłem ci mimowolną przykrość.

— Nie, bynajmniej! Radzę ci, idź do najuczciwszej z kobiet... Ja jestem tylko ładną kobietą i nie posiadam cnót, jakich ty wymagasz.

I odwróciwszy się szybko, Dianna przeszła do salonu gry. Lereboulley ścigał ją wzrokiem i dostrzegł, że przybliżyła się do Ludwika, chwilę poufale szeptała mu coś do ucha, poczem wsparła się na jego ramieniu i wyszli zwolna oboje. Senator siadł do kart lecz choć dobrym był graczem, dziś wpadał raz po raz, widocznie myśl jego czem innem była zajęta.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

Niektórzy reporterzy ciągle są niepoprawni jak znarowione dzieci, albo jak wierutni głupcy, których śmieszy równe im głupstwo obrzające rozumniejszych.

Jedni z nich, gdy się zdarzy rzeczywiście coś niezwykłego, wypadek, kłótnia lub zbrodnia, nie zbadają z gruntu zdarzenia ani okoliczności w jakich to miało miejsce, ani wreszcie osób do niego wchodzących, tylko coś podsłuchawszy niejasno i niedokładnie, tu przekręciwszy, dodawszy, tam domyśliwszy się najniedokładniej, kleją z tego bajecznego smoka i huzia! na przypuszczalnych sprawców, bez względu na następstwa.

Niedawno w ogrodzie zoologicznym, zwanym inaczej Zwierzyńcem, przez nieostrożność jeden z dozorców przy karmieniu niedźwiedzi, przez jednego z nich uchwycony, w okrutny sposób został zamordowany. Opis wypadku był przerażający, a gdy go zaczęto rozbierać, nieszczęście przypisano tylko zarządowi ogrodu, głodzącemu jakoby zwierzęta i niedbającemu o porządek wewnętrzny w utrzymaniu klatek szczególniej ze zwierzętami drapieżnemi! Krzyku narobiono wiele, zarzuty sypały się gradem, nieszczędzono nikogo a przytaczano fakta niepodpadające niby zaprzeczeniu.

Przyciśnięty zarząd tak wielkiej doniosłości zarzutami, aby się z nich oczyścić zaprosił wszystkich akcyonaryuszów oraz ludzi dobrej woli do rewizyi naocznej porządku w ogrodzie, stanu klatek i sposobu żywienia zwierząt w nim znajdujących się. Ścisły przegląd jak najzupełniej przekonał o płonności zrobionych zarzutów.

Przekonano się jak najdowodniej, że był to tylko prosty wypadek, nieszczęście z nieostrożności wynikłe, reporterzy jednak zrobili z niego potwora wstrząsającego bytem całej instytucyi użytku publicznego, bez względu, że powstała ofiarnością prywatną i utrzymywana staraniami pełnemi trudu, godnemi uznania, może się rozlecić jak kupa liści zeschniętych, pod wpływem opinii źle dla niej uprzedzonej.

Lekkomyślność to nie do darowania, a dziwna pobłażliwość redaktorów, znających aż nadto dobrze plotkarski talent podobnego rodzaju pomocników, umiejących nietylko z kozła zrobić barana, z muchy słonia, a z igły widły, ale wykoncypować nawet coś takiego co ani było, ani się zdarzyło, czyli... najbezczelniej skłamać.

Niedawno doniesiono z Piotrkowa do jednego z kuryerów o przypadkowem zabiciu na polowaniu w Starej-Wsi p. Mokierskiego przez p. Sucheckiego. Tymczasem na szczęście wiadomość okazała się fałszywą, plotka jednak została wydrukowaną. Czyż na to nie szkoda czasu i atłasu!

☞ Na posiedzeniu Towarzystwa farmaceutycznego rozbierano dwie kwestye dotyczące przyjmowania kobiet do aptek i następnie składania przez nie egzaminów. W kwestyach tych wyjaśniono: że w myśl decyzyi departamentu medycznego w Petersburgu z dnia 1 Czerwca r. b., tym kobietom dozwolony będzie wstęp do aptek, które otrzymają świadectwo z ukończenia kursu 4-klasowego w zakresie nauk objętych programem gimnazyum filologicznego, oraz z języków starożytnych, przyczem główny nacisk pada na język łaciński.

Kobiety chcące wyjść na podaptekarzy, dalsze studya uzupełniać muszą prywatnie, gdyż nie będzie im wolno wstępować na wykłady uniwersyteckie.

☞ **Ogródki włościańskie.** Włościanie z gubernii Kieleckiej zakupili u ogrodników warszawskich znaczną ilość drzewek owocowych do sadzenia przy chatach. Fakt ten wymownie świadczy o wzrośnięciu wśród włościan kieleckich poczucia utylitarnego, do jakiego niestety! nasi włościanie jeszcze nie doszli, lubo może wielu z nich znajduje się w daleko lepszych warunkach ekonomicznych, niż ich współbracia kieleccy.

☞ **Od Ludwiki Szelążkowej**, która w miesiącu Sierpniu r. b. wzięła udział w pielgrzymce do Palestyny, nadszedł niedawno pierwszy list, pisany z Jerozolimy do siostry.

Szelążkowa w gronie innych pielgrzymów wyjechała z Wiednia, a cały jej fundusz wynosił 200 rubli, stanowiące owoc wieloletniej oszczędności z zarobków służącej.

Pątniczka donosi w liście o spotkaniu aż dwóch kapłanów polaków w Jerozolimie, a zamieszkuje stale w domu państwa Gościmskich, którzy dali jej bezinteresownie całkowite utrzymanie. Według listu Szelążkowej, mówiąc nawiasem nader poprawnie pisanego, państwo Gościmscy pochodzą z gubernii Kaliskiej, z okolic Sieradza, i po stracie trojga dzieci wynieśli się z kraju, a początkowo mieszkając w Rzymie, od lat dwóch osiedlili się na stałe w Jerozolimie. Szelążkowa objaśnia, iż wszyscy niezamożni pielgrzymi polscy, mogą liczyć na otrzymanie bezpłatnego mieszkania i stołu u państwa G.

☞ **Z Mińska gubernialnego** donoszą: Przed kilku dniami odbyło się tam nadzwyczajne ogólne zebranie członków miejscowego towarzystwa rolniczego. Powodem zgromadzenia było przybycie do Mińska p. Rabinina, wysłanego przez ministeryum dóbr skarbowych, w celu porozumienia się z tutejszymi rolnikami, co do rozszerzenia produkcyi wyrobów wieprzowych i handlu niemi na większą skalę. Przy dzisiejszym upadku rolnictwa i małych korzyściach, osiąganych tylko z samej uprawy ziemi, wszelki przemysł rolny, gdzie część przynajmniej zboża zużywa się na miejscu, powinien być pożądany dla naszych ziemian. Projekt więc pana Rabinowa czyli raczej wskazówki, jakich za jego pośrednictwem pragnie udzielić ministeryum dóbr skarbowych, nabierają wobec tego doniosłego znaczenia. Rzecz głównie idzie o wywóz wieprzowiny zagranicę. P. R. w przemowie swej, wykazał ogromne korzyści, jakie otrzymuje Ameryka z rozwoju tego przemysłu. Zaznaczył także, że ruch podobny począł się już i w Rossyi i że początki, acz słabe, dały jednak bardzo pożądane rezultaty. Zachęcał więc i tutejszych ziemian, aby poszli za tym przykładem, zaręczając, że wszelkie poniesione trudy sowicie się opłacą. Pan R. poglądowo, za pomocą doskonałych fotografii, przedstawił praktykowany zagranicą sposób rozdzielania tusz wieprzowych i odmienny nieco sposób solenia wieprzowiny. Wzbudziło to powszechne zajęcie. Na zakończenie p. R. obiecał chcącym korzystać z jego wskazówek poparcie i pomoc ze strony ministeryum. Wobec korzyści, jakieby rolnicy nasi odnieść ztąd mogli, towarzystwo rolnicze postanowiło gorliwie zająć się tym projektem i zachęcać swych członków, ażeby hodowlę trzody chlewnej rozwinęli na większą skalę. Na przyszłem zebraniu, które 10 b. m. ma się odbyć, kwestya powyższa ma być bardziej szczegółowo rozpatrzoną. Zewsząd słyszymy, iż sprawa ta nie powszednie ma dla nas znaczenie. Wogóle hodowla trzody chlewnej w naszym kraju daje pewne zyski, a cóż mówić jeszcze, gdy wyroby nasze z wieprzowiny będą miały stały i szerszy odbyt.

☞ **Na przyszłorocznej wystawie paryzkiej**, pomiędzy osobliwościami ma się znajdować także muzeum Joanny d'Arc. Muzeum to obejmować będzie reprodukcye chatki w Domremy z meblami, ogrodem, gdzie obok pasącej się trzody będzie się ukazywała Joanna, przysłuchująca się swoim „głosom", dalej przedstawiać tam będą dwanaście głównych epizodów z jej życia, aż do chwili śmierci: spłonie nawet na prawdziwym stosie. Oprócz tego wystawione będą relikwie, autografy, na organach i fortepianie wykonywane będą utwory, jakie natchnęła postać dziewicy Orleańskiej najsławniejszym muzykom. Wreszcie fasada, na długości 40 metrów, zreprodukuje bramę w Orleanie, pałac w okolicach Compiègne, zkąd Joanna usiłowała uciec i bramę Paryża, przed którą została ranną. Dozór nad tem muzeum powierzony będzie potomkom rodziny d'Arc.

☞ **Koszta przyjęcia.** Sumy, jakie rząd włoski wydał na przyjęcie cesarza Wilhelma, są znaczne, wynoszą bowiem trzy miliony lirów, prócz sumy 950,000 lirów, wydanej przez króla Humberta na ten cel z własnej szkatuły. „Nazione" donosi, że cesarz Wilhelm wydał na podróż do Włoch 550 tysięcy lirów, zaś na przyjęcie go wydało miasto Castellamare 250,000 lirów, Neapol 200,000, Rzym 680,000 lirów.

☞ **Udana operacya.** Prof. Billroth dokonał w d. 13 z. m. szczęśliwej ekstyrpacyi krtani u kupca Moryca Amstera z Czerniowiec, który od kilku miesięcy cierpiał na raka w krtani. Od kilku dni Amster robi próby oddychania i mówienia bez rurki. Jest on w wieku zmarłego cesarza Fryderyka.

☞ **Correnti.** Żałobną wieść otrzymaliśmy o zgonie Correntiego, która, sądzimy, odbije się bolesnem echem o serca tych, co znali i cenili jego zasługi. Związany osobistą zażyłością z kilku pisarzami, przygotował do druku dzieje literatury polskiej, w której włochów z historyą kultury naszej zaznajomił. Przy założeniu akademii Mickiewicza osobisty i czynny przyjął udział. Turyści nasi nie omijali nigdy jego mieszkania, gdzie gościnnie zawsze przyjmowani byli. Correnti posiadał język polski i z powodzeniem pisał drobne studya o poetach naszych, które dzienniki włoskie drukowały.

☞ **W ostatnich czasach** wyznawcy „wolnej miłości", występują w Stanach Zjednoczonych coraz liczniej. Wyznawcami tejże zasady okazali się pewien pan i pewna dama, oboje członkowie wyższej klasy towarzyskiej w Bostonie, postanawiając z pominięciem wszelkich „przestarzałych" ceremonii w niedalekiej przyszłości rozpocząć wspólne życie. Nie robili nawet z zamiarów swoich tajemnicy, jakkolwiek oburzyli tem na siebie arystokracyę Bostonu. Pewnego dnia, przed połączeniem się jeszcze młodej pary, jegomość, o którym mowa, wystąpił z ucztą i sprosił do siebie całe lepsze towarzystwo miasta, nie wyłączając osoby prezydenta. Przy stole oczywiście mówiono dużo o śmiałym zamiarze gospodarza, występowano z perswazyami tak do niego jak i do panny, wszystko daremnie, zakochani od raz powziętego zamiaru pominięcia wszelkich form odwieść się nie dali. Do rozmowy wtrącił się także prezydent miasta

a zwracając się nieznacznie do gospodarza, zapytuje go znienacka: „Panie Soundson, więc zamiarem jest pańskim nieodwołalnym, tę oto kobietę (tu wskazał pannę) w złej i dobrej doli miłować, nieść jej pomoc i opiekę?" — „Oczywiście, panie prezydencie" — była odpowiedź. Teraz prezydent odwołuje się do panny: „No, to widocznie — rzecze — i pani żywi nieodwołalny zamiar temu oto mężczyźnie (tu wskazał gospodarza) w złej i dobrej doli być wierną i posłuszną żoną?" — „Tak, panie" — odparła panna. „No, to w takim razie— tu prezydent podniósł głos — mocą mego urzędu ogłaszam was mężem i żoną." Jak wobec tego oświadczenia zachowała się mimowolnie związana para, o tem kronika milczy.

Iks zagalopował się w żartach i tak kolnął jakimś dowcipkiem pana Zet, że ten po uszy zarumienił się i szepnął:

— Coś zanadto wesoły jesteś.

— To tak z radości — odezwał się trzeci ich towarzysz — że w miasteczku w którem mieszka, na bydło panuje epidemia a on żyje dotąd.

* * *

— Gdybym miał kiedy głupiego syna — odzywa się w pewnem towarzystwie jakiś pragnący uchodzić gwałtem za dowcipnisia — to musiałby zostać księdzem.

W saloniku zapanowała cisza, spojrzano po sobie w milczeniu i po małej chwilce dopiero, odezwał się jeden z poważniejszych panów:

— To pański ojciec musiał być zupełnie innego zdania.

Ogólny wybuch śmiechu potwierdził trafność odpowiedzi.

* * *

Apostoł wstrzemięźliwości. W pewnem mieście północno-amerykańskiem jakiś propagator wstrzemięźliwości przemawiał w piorunujących słowach przeciwko trunkom. Ochrypnąwszy od tego wylewu elokwencyi, prosi, aby mu kto przyniósł szklankę mleka. Jakiś żartowniś ofiaruje swe usługi i po chwili przynosi szklankę koniaku, zaprawną niewielką ilością mleka. Prelegent kosztuje, mlaska językiem i wychyliwszy szklankę jednym haustem, woła:

— Wielki Cezarze! w jakiejże stajni stoi ta krowa!

* * *

Słynny w Paryżu kronikarz „Figara", Albert Millaud w jednej z ostatnich pogawędek donosi, że pewne kółko deputowanych chce wnieść do izby projekt, mocą którego ze słownika francuzkiego ma być wymazanym wyraz „złodziej". Ktoby zaś w blizkości gmachu izby ośmielił się wymówić ów wyraz, lub np. „ocet siedmiu złodziei", albo „Ali Baba i czterdziestu złodziei", ten zapłaci karę 25 tysięcy franków. W taki sposób Millaud ośmiesza deputowanych, ustawicznie oskarżanych w ostatnich czasach o kradzieże i łapówki.

* * *

— Jak pani przedstawia sobie uczucie miłości? zapytał panny Z. niefortunny jej adonis, niczem odczepić się niedający, a wiecznie o miłości wygłaszający sążnisto ckliwe tyrady.

— Naturalnie — odrzekła — uczucie miłości przedstawiam sobie w czarnym fraku, białych rękawiczkach i na klęczkach proszącego o rękę wybranej, która w skromnej perkalikowej sukience składa mu jak najgrzeczniejszy za to ukłon i samego w bawialni pozostawia.

Panna Z. co rzekła to zrobiła, a uparty adonis raz przecie zrozumiał sens danej odpowiedzi.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Tragedye Sofoklesa w przekładzie Kazimierza Kaszewskiego. Ajaks. Filoktet. Elektra. Trachinki. Edyp król. Edyp w Kolonii. Antygona. Nakład S. Lewentala, Nowy Świat Nr. 41.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 46 wyszedł z druku i zawiera:

Pożytek z technologii. — Dziewczyny wiejskie z okolicy Białogrodu (z drzeworytem). — Głodne ptaszki (wiersz). — Zabobony (komedya). — Japonia (drzeworyt). — Tarantas pocztowy (drzeworyt). — Czyny nauczające. — Prawdziwa historya. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Na placu za Żelazną bramą. — Staś i Nacia (wiersz). Świszcze (z drzeworytem). — Alinka (wiersz). — Kochana córeczka. — Juleczka i kotka (wiersz). — Rozmowy z Mamą. — Nie suknia zdobi człowieka (wiersz). — Przywidzenie — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 2 Декабря 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).